

Rdza.
Sucha i ruda, wydaje się, że pokryła wszystko.
I wypaloną trawę.
I zbiorniki benzyny, które zrudziały od spękanej w skwarze farby i od rudego maskowania, pokrywającego ich ścianki.
I drut kolczasty.
I zakurzoną szosę.
I bezsensowne podmiejskie „Sielpo”³³ – nieślubne dziecię wiejskiego zaopatrzenia, które wcisnęło się na moskiewskie przedmieścia.
Kurz. Kurz. Kurz.
Rudy. Bezczelny.
Czepiający się. Włóżący do oczu i do gardła.
Gardło chrypi. Serce kaszle.
Kurzy się w kabinie samochodu.
Gorącą lawą wlewają się przez okno fale kurzu. Kurzu. Kurzu...
Duża fabryka. Pomalowana jak cyrk albo zebra: maskowanie.
Każdej nocy spadają tutaj bomby.
Każdego dnia wiruje rudy kurz.
Kurz. Kurz. Kurz.
Rudy. Bezczelny. Czepiający się.
Włóżący w duszę.
Ostry zakręt.
Raz.
Jeszcze raz.
Nie ma kurzu. Nie ma drogi. Nie ma szosy.
Miękki zielony dukt.
Miękki zielony dywan.
Płoty letnich domów z cienkich sztachet.
Cienkich jak w ogrodzeniach grobów.
Milczące domy za płotami.
Kto mógł, wyniósł się do miasta.

33 Sielpo – *sielskoje potrebitielskoje obszczestwo*, wiejska spółdzielnia spożywców (przyp. tłum.).

Sąsiadka fabryka to w czasie nocnych bombardowań – zła sąsiadka.
Jak najdalej od niej.
Jak najdalej od ognistego deszczu bomb zapalających, które jak elfy fruwią
nocami nad ciemnozielonymi dywanami duktów.
Jak najdalej.
Do chłodnych piwnic starych budynków miasta.
Przywołują zgrzytaniem tramwaje.
Ludzie o błędnym wzroku pośpiesznie wnoszą się z letnich domów.
Żeby ich zastąpić, przez rdzę kurzu idą niewzruszeni żołnierze.
Rozlokowują się w pustych domach.
Rozciągają drut kolczasty i kable połowych telefonów.
Ta uliczka jest szczególnie spokojna.
I domy są szczególnie martwe.
Słońce igra w niewysokiej trawie.
Trawa zwiesza się z klombów na nieoczyszczone dróżki.
Dusi w objęciach zaniedbane kwiaty.
Strasznie przekrzywiona weranda.
Skrzypią podłoga i stopnie.
Krzesło na krzesło.
Stół w kącie.
Potłuczona filiżanka. Dziecięce zabawki.
Bezmyślny, niechlujny starzec³⁴.
Jakaś nieokreślona kasza zawisła na nieogolonej brodzie.
Resztki śniadania czy... oznaka uprzejmości – słowa powitania?
Dziewczyna z niebieskimi kręgami pod oczyma³⁵.
Wśród domowych gratów nie widzę smukłej talii jawańskiej marionetki. Biała
ze złotym.
Powinna tutaj być...
Nie decyduję się zapytać.
Bo nie zdecyduję się wyprosić.
O, królewno z bajkowego Wayang.

34 Chodzi o Nikołaja Reicha (1862–1942), ojca Zinaidy Reich.

35 Chodzi o Tatianę Jesieniną (1918–1992), córkę Zinaidy Reich i Siergieja Jesienina. Opowieść Eisensteina uściśliła w liście do Konstantina Rudnickiego („Teatr” 1994, nr 3, s. 146–147).

Pamiętam twoje smukłe złote rączki, mądrze załamane w ściśle matematycznie ustalonych punktach zgięć stawów. Delikatne długie palce wschodnich mistrzów (widziałem ich współbraci na innych wyspach Oceanu Spokojnego) składają owe pozłoczone fragmenty kończyn. Drewniane zawiasy sennie poruszają złotymi pałeczkami, rękami, które ożyły. Ciemne ręce mistrzów przełożyły swoje ciemne dusze w skrzące się żmijki kończyn, które migocą słonecznymi promieniami wokół kruchego ciała królowny.

Malutka. Biała. Wężowa główka na cienkiej szyi.

Dwie czarne strzały nad oczami – brwi.

Dwie kreseczki karminu obejmują miniaturowe ząbki.

O, królowno! Z rozmarzeniem wyciągasz rączki. Nagle zginasz je w łokciach. I płynnie przesuwasz wzdłuż ciała. Żeby nowym drgnięciem zmienić kąt między nimi.

Równocześnie z drgnięciem obróciła się twoja główka...

Odpłynęliśmy na morze zachwyceń.

Za tobą już roją nam się, o, królowno, dziwne świątynie, kpiące z logiki architektury, podobnie jak wspaniała roślinność, wysmiewająca klasyfikacje botaniczne.

Czy jednak tylko botaniczne!

I czy to drzewo nie jest w równym stopniu jaguarem, który drapieźnie wyciąga uzbrojone w pazury łapy?

A ten kwiatek – czy nie jest ptakiem, który fruwa w dziewiczym lesie?

A ta liana – czy to nie wąż, który może zabić w swoich objęciach, zadusić w swoich splotach?

Jednak w tle za tobą nie lśnią pagody i gopuramy.

Kiedy widzę cię po raz pierwszy, za tobą pobłyskuje biały zwykły „kuchenny” kafel: biały piec holenderski.

Nie jakiś ozdobny kafel z bajkowej Holandii XVII–XVIII wieków.

Zwykły kafel w zwykłym domu na bulwarze Nowińskim.

Gderając, pali w piecach gruba Duniasza.

Nic, tylko palić i palić...

Pobłyskujące białe kafłowe tło dla naszej królowny promienieje słabo ciepłem i światłem.

I tutaj prześladowają ją Holendrzy, jak na morzach wyspy, gdzie się narodziła...

Ręce jawańskich mistrzów zastąpiły ręce jawańskich aktorów lalkowych.

A ich ręce – zdumiewające ręce najbardziej zdumiewającego ze wszystkich człowieka.

To on teraz przed nami, ledwie dostrzegalnymi ruchami palców, wlewa swoją duszę w ożywające złote z białym ciałko królowny.

A ona żyje jego oddechem.

Drga i migoce.

Sennie wznosi rączki i wydaje się, że płynie przed urzeczonymi oczami prozelitów wielkiego mistrza.

Gdzieś tutaj, wśród rupieci i gratów.

Wśród potłuczonych naczyń i popękanych nocników i umywalek.

Wśród przetartych słomianych foteli i poszarzałych bukietów sztucznych kamelii.

Poniewiera się.

Jakaś zawstydzona nieśmiałość nie pozwala mi zapytać o nią dziewczynę z niebieskimi kręgami pod oczami.

Może to ta sama nieśmiałość, która boi się zniszczyć dawne marzenie niespodziewanym zbliżeniem.

Kiedy wszystko dookoła jest martwe i kiedy wszystko się zmieniło.

Od tylnego wejścia.

Pod dachem.

Częściowo pod okapem nad tylnym gankiem.

Częściowo w przestrzeni między skosem dachu a stropem spiżarki.

To właśnie – to, po co przyjechałem na wezwanie dziewczyny z kręgami pod oczyma.

Gożąco jak w piekle na tym stryszku, gdzie można się dostać tylko po oderwaniu kilku desek obicia.

Z niepohamowaną żwawością niszczenia robi to mój kierowca Losza Gadów.

Rudy kurz kołysze się leniwie nad siwymi martwymi teczkami.

Tylko promienie słońca przez szpary i muchy kręcą się nad tymi stosami papieru.

„Boimy się o nie. Spłoną.

Boimy się także o dom. Spali się”.

Tak kilka dni przedtem mówiła do mnie panienska, która teraz przez niebieskie kręgi patrzyła obojętnie na stos teczek.

„Okolice fabryki mocno bombardują...”

Przez podwórko przekuśtykał na wpół obłąkany starzec – jej dziadek ze strony matki.

„I tak ich nie uchronimy.

I tak przypadną.

Proszę wziąć...”

RGALI, f. 1923, op. 2, jed. chr. 1053, l. 1–8. Opublikowano: „Teatr” 1993, nr 3, s. 157–158; MEM, t. 1, s. 224–227. Na autografie data: „10/IX 44”.

Z rozdziału *Spotkanie z książkami*

Drugi przypadek – chociaż w czasie pierwszy: W[siewołod] Em[iljewicz].

W 1915 roku uparcie chcę mi przybliżyć „Miłość do Trzech Pomarańczy”.

Kiedy zatrul mnie teatrem Komissarzewski ze swoją *Turandot* u Niezłobina (nie zaś obrzydliwie ckliwa *Turandot* u Wachtangowa tegoż Gozziego).

Stara się o to Mumik (Władimir) Weidle młodszy.

W domu na Kamiennooostrowskim, gdzie wiele lat później zamieszka Kozincew³⁶.

Bez rezultatu. Pamiętam niejasno okładkę Gołowina.

Tę samą, której oryginał – najcenniejsza pamiątka po Mistrzu – znajduje się teraz u mnie w domu!

RGALI, f. 1923, op. 2, jed. chr. 1069, l. 11 ob. Opublikowano [w:] MEM, t. 1, s. 283. Na autografie data: „12 VI 46”.

Z rozdziału *Wie sag' ich's meinem Kinde**

Oprócz ojca fizycznego, na drogach i rozdrożach zawsze pojawia się ojciec duchowy.

Stwierdzenie to jest najbardziej pospolitym truizmem.

Fakt pozostaje jednak faktem.

Czasami to ta sama osoba – i nie jest to zbyt dobre.

36 Grigorij Kozincew (1905–1973) – reżyser teatralny i filmowy.

* *Wie sag ich's meinem Kinde* (niem.) – Jak mam powiedzieć mojemu dziecku.